

I/937

1

MARIAN MONGIALLO

Wspomnienia nagrane przez M. Giżejowską w Elblągu w 1991 r.

Taśma IA

Urodziłem się w 1917 r. i przed wojną mieszkałem z rodziną we wsi – kilometr od Ejszyszek.

W konspiracji byłem od 1943 r.(?). W 1944 r. byłem w kompanii "Puszcza" – batalion Sztermera, 77 pułk Okręgu Lida. Dowódcą mojej kompanii był "Kalina". Przed akcją "Burza" byłem drużynowym cyklistów – wznaczałem tych, którzy wozili meldunki, m.in. do majątku Wilkiszki, gdzie aresztowali nasz sztab AK z "Wilkiem". Wtedy pojechał tam akurat mój brat z kolegą. Zobaczyli, że nasi rozmawiają z ruskimi, ale niedaleko stoją czołgi. Wrócili do naszego dowódcy i opowiedzieli jaka tam jest sytuacja. On powiedział, że pewno nas też będą chcieli rozbroić. Ale myśmy się nie dali i poszliśmy do Puszczy Rudnickiej.

Przed akcją "Burza" – jeszcze w 1943 r. mieliśmy kontakty z partyzantką radziecką, były wspólne uzgodnienia między dowódcami i wszystko było w porządku. Wszyscy byli zadowoleni, że wspólnie walczyliśmy z Niemcami. Mówiliśmy, że Sowietom to jednak Słowianie – jacyś bliżsi niż te Szwaby. Ale już w 44 r. zaczęli nas rozbierać.

Po akcji "Burza" NKWD mnie aresztowało, ale ja im uciekłem. Mieszkałem w Ejszyszkach – w różnych melinach. Początkowo, jak byliśmy jeszcze w Puszczy Rudnickiej to ciągle latały nad nami samoloty rosyjskie – pewno chcieli nas wykryć i po-

wystrzelać. Ale myśmy się skryli, zamaskowali broń. Dowódca powiedział, że część ma iść na pomoc Warszawie (najpierw wszyscy mieliśmy tam iść), ale część została, kto miał tu rodzinę, żeby jakieś sprawy pozajątwiać. Potem dopiero mieliśmy wszyscy iść do Warszawy.

Poszedłem do meliny, chciałem zmienić ubranie, umyć się. Akurat przuszedli z NKWD i pytają czy znam drogę do takiej a takiej wsi. A ja tam wszystkie wsie dobrze znałem. Kazali mi pokazać drogę, ale przedtem posłali do stodoły po palerosy. A w stodole był ich sztab. I od razu – dostałem w twarz: "ty partyzant, AK=owiec". Mówię, że nie byłem w żadnym AK. Miałem już na sobie cywilne ubranie.

Zawieźli mnie do Ejszyszek, znowu przesłuchanie, ale ja się do niczego nie przyznawałem. W Ejszyszkach trzymali wszystkich w areszcie śledczym – w dawnej bożnicy żydowskiej. Jak wszedłem, to zobaczyłem tam prawie całą naszą kompanię..Uprzedziłem ich, że ja się do niczego nie przyznaję i żeby mówili, że jeden drugiego nie zna. Oni się już przyznali, że byli w AK, ale powiedziałem, żeby mnie nie zdradzili.

A sowievi chcieli mnie posłać do armii Berlinga – na komisję. Było to w miesiąc po akcji na Wilno. Zabrali mi wszystkie dokumenty, m.in. prawo jazdy i mówią, że jestem zdolny do wojska. A ja patrzę, że wszystkich naszych AK-owców prowadzą pod konwojem, z psami, – do Wilna. Mówią, że wszyscy idą do armii Berlinga. Wiedziałem, że innych aresztowali, więc coś mi tu nie grało.

Zaprowadzili nas do Wilna – na przesyłkę. Tam byli i Polacy i ruscy. Mówię do jednego znajomego, że coś mi tu śmierdzi i spróbuję uciec. On się przeraził – jak?, przecież tu wszystko obstawione.! Ale ja Wilno dobrze znałem i spróbowa-

łem. przy sposobności czmychnąłem w krzaki – postrzelali, poszukali, a ja na dół do Wilejki. A tam koło studni stoi 4 żołnierzy. Po drodze idą dwie panienki, to ja do nich – jedną obejmuję i staram się zachowywać swobodnie. Szepczę jej do ucha: "Proszę pani, czy nikt za mną nie idzie? Ja chcę przejść przez rzekę". Ona mi powiedziała, że mam przejść kilkanaście metrów, tam jest most, ale trzeba uważać, bo obok stoją działła przeciwlotnicze.

I tak uciekłem – znowu do Puszczy Rudnickiej. Spotkałem tam rozbite jednostki Niemców. Ja broni nie miałem, jakby mnie złapali, to na miejscu by zakłupili. Jakoś się przemknąłem i ukrywałem się w melinach. Tam pomagałem wydawać litewskie dowody dla AK-owców. Nie wiem skąd dowódca miał te gotowe – nie wypełnione dowody.

Ja też miałem taki fałszywy dowód i z tym dowodem mnie zaaresztowali – ponownie – w styczniu 1945 r.

Zaaresztowali też mojego dowódcę. U nas była wtyczka z NKWD. Mówił, że jest z AK z innej kompanii – "Solcza". I ta wpadka była przez niego. Powiedział mi, że chce mnie zaprowadzić do swojego oddziału, a rano sprowadził NKWD. Od razu mnie skatowali – zdarli koszulę, skopali, bili wyciorami. Po zwycięstwie nad Niemcami wszyscy oni stali się butni i okrutni....

Zawieźli mnie do Ejszyszek, potem do Radunia. Tam były wszyscy, świerzb – całe ciało mieliśmy w ranach. W małej celi było 63 osoby, musieli na siłę, kopniakami domykać drzwi na noc, bo ludzie się nie mieścili. Byłem tam 2 tygodnie. Chciałem stamtąd uciec, ale ktoś mnie zdradził. Ci NKWD-ziści – to byli takie żydki z partyzantki i często przychodzili do nas

4

do celi, żeby im powróżyć – bardzo w to wierzyli. Siadał taki przy stole, a automat wiszał na ścianie. Drugi trzymał automat między nogami. Mówię do chłopaków, że jak zaczną krzyczeć: "Naczelnik, umirajut!" i jak otworzą celę, to we czterech mają mnie wynieść. Ja załatwię tego przy stole z automatem, a wy weźcie drugi automat ze ściany. Ale się nie udało. O tym moim planie wiedziało chyba z 10 osób – naszych AK-owców. Ale siedział z nami rusek, który miał na ciele pasy z kalihiper-manganicum – niby, że tak był bity. J^oto wykryłem. To był kapuś.

Za karę, po tej mojej nieudanej ucieczce, prowadzili mnie ze związanymi rękami 140 km po pas w śniegu – piechotą do Lidy – tam i z powrotem, bo nie było miejsca w więzieniu w Lidzie. Ludzie mnie po powrocie karmili, bo tak miałem opuchnięte ręce i byłem zupełnie wykończony. Do tego stopnia, że w drodze powrotnej prosiłem, żeby mnie zastrzelili, bo już nie wtrzymam. A oni: "Towyjdz z szeregu" – ja długo nie czekając wyszedłem z szeregu – koło takich dwóch brzózek – myślałem, że tam będzie mój grób. A konwojent jak mi dał kolbę, to się zaryłem w śnieg... ale nie zastrzelił. Powiedział: "Ty nam porabotasz i jeszcze sam podochniosz". Podniósł mnie, widział, że dalej już nie pójde. Wrzucili mnie na wóz i dowieźli do więzienia Lidy. Rzuciłem się na prycę zupełnie wykończony – nie do opisanania.

W więzieniu wszy były też nie do opisanania. Raz nałapałem ich całe pudełko od zapalek i poszedłem z tym na śledztwo. Prowadził mnie ten, który najbardziej mnie prześladował – szedł pierwszy, a ja te wszy na niego rzuciłem. Ale nawet się nie zorientował. Potem w Lidzie dali nasze ubrania do prozar-

5

ki, która była obok pomieszczenia, w którym siedzieliśmy zupełnie nadzy. Ubrania zaczęły się palić, o mało się tam wszyscy nie podusiliśmy, ledwo nas odratowali. Z jednej strony prożarki byli mężczyźni, z drugiej – kobiety. Wszyscy nadzy wyskoczyli, łapali byle jakie ubrania – z magazynu obok – sowieckie wojskowe bluzy, spodnie. Potem jeden drugiego nie mógł poznać.

I B

Śledztwo było tylko w nocy. W Raduniu okropnie mnie zбили – zaraz na początku, a potem raz zaprowadzili – ja patrzę, a śledczy wychodzi i zostawia dwa automaty oparte o ścianę. Ale mnie już wtedy koledzy ostrzegali, że oni robią takie numery i że bym tych automatów nie dotykał, bo są puste, a oni mają dziurki w ścianach i obserwują co kto robi. Już wcześniej robili takie pułapki.

A wtedy ja już byłem w taki staniu (po tym biciu i marszu), że chciałem się z okna – z 2-go piętra rzucić – i zabić. Tak wszystkiego miałem dosyć, na wszystko byłem zdecydowany.

Śledztwo trwało rok: w Raduniu, w Lidzie, w Grodnie. Tam jeszcze kilku kolegów dołączyli do mojej sprawy – zrobili ze mnie ich przywódcą. Na końcu śledczy powiedział, że będzie: "Osoboje sowieszczanije" i "kula cię nie minie". A wtedy były wroki: albo śmierć albo 10 lat.

Ja dostałem 10 lat obozów. A wtedy był już koniec wojny, żołnierze szli, śpiewali "Mazurka, a my...."

W Grodnie siedzieliśmy w wielkim więzieniu, do którego zwozili różnych kryminalistów, zwyrodnialców. Tam często wy-

b
7

wozili ludzi na rozstrzał.... Zostawiali tylko ich ubrania w specjalnym magazynie.

Kiedyś przez ubikację udało mi się porozmawiać z całą żeńską – z taką znajomą panną z Łęszyszek. Złapali mnie na tym i za karę kazali sprzątać karcer. Tam były gołe ściany, woda się ^yponich leje, na podłodze wody po kostki, nic nie ma – tylko jakaś mokra fufajka na podłodze. Raz mnie zaprowadzili do celi w piwnicy, gdzie więźniów rozstrzeliwali. Na ścianie – 1,20m – pełno dziur po kulach. Na górze nic nie było słychać – bo to były jeszcze carskie, grube mury. Nie wiadomo, ilu rozstrzeliwano dziennie, robili to w nocy i w nocy wywozili nagie trupy poza więzienie.

Kiedyś za jakąś karę posadzili mnie zupełnie nagiego do pojedynczej celi, w której nic nie było, nawet szyb w oknach, tylko kraty. Był luty, duży mróz. Myślałem, że zamarznę. Gimnastykowałem się, skakałem, ale w końcu tak osłabłem, że leżałem na podłodze. Trzymali mnie tam kilka godzin, bo nie chciałem powiedzieć, kto w naszej celi śpiewał pobożne pieśni. A tam przywieźli nowych więźniów – ruskich, popa, mnichów, ~~plebani~~ i polski ksiądz²⁹, ⁹adwokat⁷ i inni^{ych}. I zaczęli ^ośpiewać, najwięcej nasz ksiądz. Wywołali mnie i kazali powiedzieć, który to śpiewał, mówiłem, że nie wiem, nie znam, trzymali kilka godzin w tej pojedynce w mrozie, w końcu dozorca zwymyślał mnie, dał po twarzy i wypuścił. Ledwie żywy byłem. Wróciłem do celi, koledzy dali mi herbatę okręgli kilkoma kocami. A ksiądz mówi, że trzeba było powiedzieć, że to on śpiewał – co by mu zrobili – "Poćco pan tyle cierpiał!" Odpowiedziałem, że "Nie o to chodziło co księdzu zrobią, ale czy ja mam być psem?! Kapusiem? Wolę zginąć!"

Na śledztwie śledczy po tym fakcie powiedział mi, że ja źle postępuję i dopóki będzie trwało śledztwo ani paczki ani listów nie otrzymam. A mamusia przyjechała do Grodna, widziałem ją przez okno – paczkę niesie. Ucieszyłem się, ale paczki nie dostałem.

Śledztwo dlatego mi tak źle szło, że się trochę poplątałem. W Lidzie przyjechał prokurator żeby podpisać zeznania i zakończyć śledztwo. Śledczy wprowadził mnie z celi, kazał stanąć twarzą do ściany i czekać dopóki prokurator nie przejrzę papierów. A ja w tym czasie rąbnąłem się sam nosem w ścianę, krew mi porządnie pociekła, rozmazałem ją po twarzy. Wychodzi śledczy z prokuratorem: "czto s toboj?", a ja na to, że właśnie tak prowadzą śledztwo. Śledczy wściekły: "Ty sukinsyn, kto tiebie udarił?" – Mówię, że kto mnie mógł uderzyć? Ten jeszcze klnie, ale prokurator jednak nie podpisał dochodzenia, a śledczy jeszcze przy prokuratorze podarł moje zeznania.

Jeszcze w Lidzie jakaś sekretarka prosiła, żeby ktoś jej zreperował maszynę do pisania, więc zgłosiłem się jako ślusarz. Koledzy mnie namawiali, żebym poszedł do tego biura, może się czegoś dowiem i przyniosę jakieś papiery do palenia? Zreperowałem tę maszynę, ale w tym czasie słyszę głos śledczego, który wymienia moje nazwisko, że jest taki w Lidzie i pojedzie do Grodna. Nie wiem czy to był przypadek, czy mówił tak specjalnie?

I niedługo rzeczywiście przewieźli mnie do Grodna.

Jeszcze na początku śledztwa chcieli mi zmienić narodowość na białoruską, ale ja się nie dalem i nie chciałem tego

28

papierka podpisać. Za to z Kołomy nie chcieli wypuścić żony – bo to obywatelka rosyjska.

Sąd był chyba listopadzie 1945 r. w Grodnie. Sądzony byłem przez "Trójkę" z par. 63 p. 1a i chyba 27 (?) b.k.k. – zdrada ojczyzny. Dostałem 10 lat, 5 lat p.p.ob. i wieczna zsyłka po odbyciu kary i zakaz korespondencji.

Na Wielkanoc 1946 r. zawieźli nas do Orszy. Tam był obóz przejściowy. Tam było piekło. W celi było ponad 270 osób. Nie można było spać, jeden drugiemu trzymał nogi zgięte na ramionach. I tak zawsze paru nie miało miejsca i spali na paraszy (dwóch) a jeden całą noc stał. Leżeliśmy na gołym cemencie., Szyb w oknach nie było. Dawali zupę z nasion trawy "czumiza" i pajkę chleba. spacerze nie było mowy.

W Orszy byłem 2 tygodnie. Potem zawieźli nas do Krasnojarskiego Kraju – do Tachtamygdy koło Czity.

II A

Tachtamygda to był niewielki posesiołek i tylko jeden obóz – o zaostrozonym reżimie. Początkowo były tam i kobiety i mężczyźni, ale wkrótce kobiety gdzieś wywieźli.

W Tachtamygdzie byłem ~~ponad 2 lata~~ od 1946 do 48 r. – czyli prawie trzy lata.

Dużo ludzi tam umierało. Pracowałem najpierw jako dekarz. Umiałem – nie umiałem – musiałem – żeby przeżyć. Czasem trzeba było 10m² ~~kw~~ pokryć taką "hinstruszką" (?). Zamiast gwoździ była linka stalowa, którą trzeba było pociąć i wbijać te kawałki w twarde drewno – jak gwoździe. Normy tam nikt nie mógł wykonać.

Potem pracowałem przy budowie ośmioetażowych (mieszkalniowych) piętrowych domów – jako cieśla, potem kopałem fundamenty w wiecznej zmarzlinie. I wtedy byłem już zupełnie wykończony. Do roboty jakoś szedłem, ale z powrotem to brygadier z kolegą musieli mnie ciągnąć pod rękę. Zupełny dochopdiaga – skóra na tyłku – to była jak papierek. Każdą kostkę można było policzyć przez ciało. Nawet brygadzista nie chciał mnie brać do roboty – bo się do niej nie nadawałem. Brygadzystą był Rosjanin – też więzień.

W takim stanie byłem 3 razy. Żywność to była ta zupa z nasion trawy "czumisa", która nic nie dawała. Oprócz tego 150 g kaszy jęczmiennej i 700 g chleba. Straszny głód tam był. a

~~11~~ 9

kopać trzeba było – mróz nie mróz. Praca trwała 12 godz. – na dwie zmiany. Tam gdzie były 3 zmiany – pracowali po 8 godz., np. w zakładach w fabryce zbrojeniowej koło Czity. Robili tam czołgi, miny, silniki, narzędzia.

?!

W obozie w Tachtamygdzie było prawdopodobnie 3 tys. więźniów, w tym prawie połowa – Polacy (czyli ok. 1,5 tys.–?). Jeden z moich kolegów – Nikrewicz (siedział niewinnie, bo miał to samo nazwisko co znany i poszukiwany AK-owiec z naszych stron, tamtego nie znaleźli i posadzili tego) – próbował uciekać do Chin przez Mandżurię. Wzięli ze sobą jednego ruska, który miał służyć za przewoźnika, ale ich złapali przed granicą. Po złapaniu to deski im łamali na plecach, strasznie ich maltretowali. I dołożyli z powrotem tyle, co już odsiedzieli.

W obozie byli i polityczni i kryminalni. Specjalnie ich dobierali, żeby nam dokuczyć. Byli tacy, którzy nigdy nie wychodzili sami tylko z obstawą. Kryminalni przeważnie nie pracowali tylko zajmowali się kradzieżą i rozbojem. Jak rozdawali chleb, to wokół tego, który ten chleb niósł do baraku musiało iść czterech z kijami – jako obstawa.

Głód był taki, że ludzie ze śniegu wybierali okruchy chleba, ości, skóry ryb.... Tam był największy głód jaki poznałem. A Zachód, zwłaszcza Ameryka im pomagała. I mieli żywność z tych podbitych republik. Według mnie specjalnie nam tak mało dawali jedzenia, żeby naród wyniszczyć.

Przecież z naszych terenów Wileńszczyzny od początku – od września 39 r. – wywozili Polaków i tak prześladowali, żeby nie było komu wracać, żeby zniszczyć polski naród. Kto miał ubranie policjanta, pocztowca, leśniczego – to od razu

brali – wywozili, aresztowali. Więzienia w Mołodecznie, w Równem były już w 39 r. przepełnione. Młodzież też niszczyli, zwłaszcza wykształconą. A Litwini im pomagali.... Litwini to były takie psy niemieckie. Oni wszystkich Żydów powystrzelali, nas kontrolowali, po pysku prali. To paskudny naród – oni do Polaków jakiś uraz mają. Prości ludzie to może tacy nie byli, ale młodzież i Szaulisi – to byli paskudni. Złoto Żydom pozabierali, dlatego ich mordowali i wydawali....

W obozie zetknąłem się też z Litwinami. Z jednym pracowałem przy obrabiarce. Była zgoda. Wyrzucał sobie, że po co się dla nich (Niemców) tak zażywał. A to był policjant litewski, który złapał i zbił mojego brata. Też dostał 10 LAT – ZA WSPÓŁPRACĘ Z NIEMCAMI. DŁUGO NIE POŻYŁ, BO DOSTAŁ wylewu krwi i tam umarł....

Stosunek służby obozowej i konwojentów do nas był okropny. Oni uważali, że my wszyscy jesteśmy albo kryminaliści, albo faszyci, albo inni przestępcy (zdrajcy ojczyzny). Nikt z nami słowa nie chciał zamienić. Uważali, że jesteśmy przeznaczeni na wyniszczenie.

W Tachtamygdzie, wtedy, kiedy byłem tak wykończony, to chciałem rzucić się w tartaku na piłę – żeby sobie palec odciąć i trochę odpocząć i odżywić się. Bo na "chorobowym" dostawało się 800 g chleba, a jak pracujesz i normy nie wykonasz – to 350 g. No i pokaleczyłem się.

Potem miałem wypadek przy budowie tych domów – drewno na mnie zleciało, wybiło zęby. Miałem zwolnienie na 2 tygodnie. Potem miesiąc przeleżałem w szpitalu na ischias.

Potem skierowali mnie do stolarni w warsztatach. Tam wyrabiałem nawet 150% normy – pracowałem na dłużownicy – maszy-

nie, która sama dla mnie robiła. Tam pracowaliśmy na 3 zmiany – po 8 godz. Ale rozwód trwał 1,5 godz. rano i wieczór: każdego musieli wyczytać po nazwisku i po paragrafie. Jak było tyle ludzi, a oni jeszcze mylili się!

Polacy sobie pomagali. Jak któryś dostał paczkę, to się dzielił. Niektórzy często dostawali paczki. Ja – nigdy.

Największe załamanie miałem właśnie w Tachtamygdzie. Po-tem jakoś człowiek się zaaklimatyzował, przyzwyczał do tych ludzi, nauczył się, jak sobie dawać radę, jak postępować z worami, sukami itp. Ci ludzie byli do wszystkiego zdolni....

W obozie byli więźniowiei z całego prawie świata – wszystkie narodowości: Azjaci, Litwini, Lotysze, Gruzini, UkraiN-cy, Ormianie, Jkuci, Japończycy itd.

W czasie jak nas przywieźli do Tachtamygdy, to odwozili stamtąd Japończyków (nie wiem dokąd) – z armii Kwantuńskiej. Baraki po nich były barzo czyste, porządne.

Numer obozowy dostałem jeszcze w Tachtamygdzie – w 1948 r. Miałem – G-1-833.

~~1312~~

(fragment z I-ej taśmy): W 48 r. zabrali mnie do Buchty Wanino. Stamtąd odpływały statki z więźniami o dużych wyrokach i politycznymi i kryminalnymi. Na Kołymę wywozili tylko tych, co mieli nigdy nie wrócić, bo nawet po przeżyciu wyroku była wieczna zsyłka.

O Kołymie pierwszy raz dowiedziałem się właśnie w Buchcie Wanino. Spotkałem tam swoich znajomych ze wsi, którzy byli razem ze mną w konspiracji. M.in. był ktoś spod Lidy, kogo ja odrowadzałem w 1944 r. do Syrakun.....

W Buchcie Wanino kilka razy były buntury więźniów, nawet w barakach ludzi strzelali. jeden bynt był na statku – w drodze na Kołymę – w 47 r. Kryminalni napadli na konwój, rozbili i dobrali się do telegrafisty. Ale ten zdążył jeszcze nadać sygnał SOS i nadleciały samoloty i śmigacze i zaczęli ostrzeliwać statek z karabinów. Wkrótce opanowali statek i tych buntowników i zawrócili statek do Wanino. Powybierali przywódców – wysadzili na ląd i tam miesiąc trzymali ich pod gołym niebem, szczuli psami, prawie jeść nie dawali... Oni tam już na rękach się czołgali....Okropne rzeczy tam się działy...W Wiele buntach brali udział i kryminalni i polityczni – przeważnie Rosjanie i Ukraińcy.

II B

W rok po pobycie na Tachtamygdzie poprzyczepiali nam numery: na plecach, czapce i lewym kolanie. Numery były duże – chyba z 5 cm. Były robione z blachy z konserw amerykańskich. Blachę cięto na paski i na nich wytłaczano numery. I te paski przyszywano do płótna – sami je przyszywaliśmy.

W baraku mieszkało ok. 40 osób. W obozie było kilkanaście baraków, niektóre większe, długie.

Niedaleko był obóz kobiecy, ale ogrodzony drutami. Zdanych kontaktów nie było. Kobiety pracowały przy bydle (w obozach), w szpitalu... Wiem, że były tam Polki, bo kiedyś zrobili zabawę dla więźniów w zonie. Przyjechała jakaś kultbrygada, wybrali część więźniów i zrobili zabawę (to było chyba jakieś święto). Niebezpieczne to dla kobiet nie było, bo odbywało się na oczach ludzi. A z gwałtami to było tak jak prowadzili mężczyzn z łaźni, to czasem kobiety jakiegoś chłopca

213

chwyciły i wciągnęły do swego szeregu, poprowadziły gdzieś...Niektórych znajdowano potem martwych (zamordowanych) w ubikacjach. Kobiety-kryminalistki były czasem gorsze niż mężczyźni-błatni.

Późnym latem 48r. zostaliśmu wywiezieni do Wanino. Tam jeszcze było ciepło, ale jak nas przywieźli na Kołymę i powieźli z Magadanu 400 km na północ pod Góry Czerskiego, to było już i40 st. i śnieg.

W Wanino był olbrzymi obóz przejściowy – tysiáce, tysiáce ludzi. – kilkanaście zon z barakami. Mówili, że jest tam ok. 30 tys. ludzi.

Stamtąd wywozili więźniów – samolotem (do 30 osób) i statkami – na Kołymę, Czukotkę, Sachalin, Kamczatkę.

O Kolymie mówiło się, że stamtąd się nie wraca. Dlatego to wory i inni kryminalni starali się w różny sposób okaleczyć, aby tylko nie pojechać na Kołymę.

Na Kolymie większość wolnych – to byli więźniowie – zostali po odbyciu wyroku z czasow czystek Jeżowa i Berii. Ja spotkałem takiego Polaka – 3km za posiołkiem Orotukan. Kupiłem u niego coś, patrzę, a on ma takie znajome rysy. Pytam skąd jest, on mówi, że "s Polszy". To zaczęliśmy rozmawiać po polsku. Ojciec jego był zesłańcem z powstania styczniowego – gdzieś mieszkał na syberii. Dokładnie nie wiem, bo on palcami mi pokazywał, żebym przy jego żonie nie rozmawiał po polsku. Ten Polak był już wolny, pracował jako dróżnik, żonę miał Rosjanekę. Nie wiem od którego roku był na Kołymie.

W posiołku "Larkowy" – kolo Orotukanu widziałem cmentarz z polskimi krzyżami i nazwiskami Polaków z datami z 1863 r. –

314

dużo było tych nazwisk polskich, ale czy to była data śmierci czy urodzenia to nie pamiętam.

Na tym cmentarzu (Larkowe") został pochowany Witek Win-
cze(on się utopił) i jeszcze jeden Polak, którego matka pra-
cowała w ambasadzie polskiej w Moskwie i po uwolnieniu syna
miała przyjechać do Polski. Ten chłopak spóźnił się na trans-
port, którym jechała matka, został i na Kółymie umarł. Nazywał
się - Ozejko..... coś podobnego.

Statek, którym płynęliśmy był ogromny - 3 trumy 0 pię-
tra, ze 3 tys. ludzi,.Statek nazywał się "Erywań", a wracałem
statkiem "Aleksander Nożajski".

Podróż na Kółymę wyglądała okropnie. Dawali słoną rybę,
a wody mało. Resztę wody zabierali dla siebie kryminaliści -
nawet się w niej myli. To myśmy zrobili im manto. Była to
mieszana grupa politycznych: Lotysze, Estończycy, Litwini,
którzy trzymali z nami - Polakami, trochę ruskich i Ukraiń-
ców. Zabraliśmy błatnym wodę i żywność i zaczęliśmy sami ją
uczciwie wydzielać. Przedtem robiły to tzw. sześciorki, kto-
rzy dawali samym atamanom. Dla nich też kradli, nawet wódkę
kombinowali.....

Po przyjeździe do Magadanu od razu wsadzili nas na samo-
chody(nie byliśmy w obozie przejściowym) i pojechaliśmy do
Orotukanu. Jeszcze w Wanino był dyrektor orotukańskich zakła-
dów (Zakładyurządzeń Gornicznych i wzbogacania Rudy) i zrobił
listę przydziału robotników(więźniów) do swego przedsięwzię-
cia. W Magadanie od razu wyczytywali nazwiska z tych list
przygotowanych wcześniej i ładowano nas na samochód Jechało
nas wtedy ze 4 ciężarówki.. - ok. 20 osób na każdej, czyli ze
100 osób jechało. Byli to sami polityczni.(ale wśród nich

A 15

wielu kryminalistów z frontu, którym dali polityczny paragraf).

Polaków w Orotukanie było może z 50 lub trochę więcej.... Obóz był koło posiołka – tylko jeden i jeden Zakład, w którym pracowaliśmy. Komendantem obozu był Bezpłachotnyj. Ale najgorsi to byli sierżanci – Szuba i Lobow. Oni samni rozstrzeliwali więźniów.

Niedaleko były niewielkie kopalnie złota, ale w nich pracowali tylko wolni, którzy dostawali koncesję. Przeważnie byli to Niemcy nadwołżańscy. Pracowali tam tylko w lecie, czyli 3 miesiące. Myli złoto, oddawali je, dostawali bony, potem całą zimę nic nie robili, tylko spali, popijali itp. Oni sobie sami wyszukiwali te złotonośne miejsca – podobnie jak na Alasce.

W obozie w Orotukanie było chyba z 5 000 więźniów. wszyscy pracowaliśmy w Zakładach. Ja pracowałem w Zakł. Cecho-Mechanicznych jako strugacz i tłukarz (?). Pracowaliśmy 12 godzin – na dwie zmiany – od 6-ej do 6-ej. Dlatego dostawałem zacioty – i rok wcześniej wyszedłem z obozu.

Kołyma – to był klimat nie do zniesienia (50–60st. mrozu), meszka, komary 0 nie do opisanego. 6 miesięcy trwa noc, 6 – dzień. Niektórzy nie mogli spać. Ale mimo tego ja się dobrze czułem fizycznie – nie chorowałem, nawet po górach chodziłem (ale to już na zsyłce).

Śmierć Stalina przyjęliśmy oklaskami. Przeczytałem wtedy w gazecie "Tichookieńska Prawda" artykuł Malenkowa (?), że na rozkaz Stalina zostało zgładzonych 15 tys. oficerów polskich w Katyniu. Pierwszy raz o tym przeczytałem w 1954 r. – tam o tym pisali!. Na Kołymie takie teksty i filmy puszczali,

5/16

ze na matieriku i w polsce napewno ich nie [pkazywali. Filmy były i niemieckie i angielskie i amerykańskie. Więźniowie i tak dużo wiedzieli, a poza tym na inne filmy (ruskie) i tak by nie chodzili. W Polsce – po powrocie to przez 15 lat jeszcze tych filmow nie widziałem. I książki różne czytałem....

III A

Po Śmierci Stalina od razu było lepiej. Zaczęli dawać tran do picia – po łyżeczkę, większe porcje chleba, lepsze zupy. Ale jeszcze nam nie płacili. Dyscyplina była jeszcze jednak ostra. Kiedyś (jeszcze w 53 r.) przed bramą obozu leżało sześciu zabitych więźniów – jako ostrzeżenie przed próbą ucieczki. leżeli tak chyba ze dwa miesiące. A przecież z Kolymy nie ma ucieczki. Były tylko zamiary. Była taka grupa w zakładach, w których robili broń. m.in. jeden polak z Warszawy. Planowali ucieczkę. Zaczęli namawiać Jana Chylińskiego – mego kolegę (przedtem był w stopniu porucznika) żeby z nimi uciekł. Mieli zamiar iść przez tajgę – kupili żywność, mieli broń. Czy potem mieli zamiar opanować samolot czy uciec morzem – tego nie wiem.

A Chyliński opowiedział o tym Danzigerowi (Żyd z Warszawy), który też wyrabiał broń. Danziger przekazał to NKWD. I wszystko się skończyło. Tych, którzy robili tę broń wzięli do karceru. To wszystko byli Polacy – z Powstania Warszawskiego.

Ja dowiedziałem się o tym przypadkowo od innych kolegów. Dali mi takie pudełko po paście – na "karyszki" (na takie kordonki do palenia). Ale patrzę – a tu na pudełku jest napisane: "Nas zdradził Chyliński". Jemu nic nie mówiłem. A wiedziałem, że trzech lub czterech trzymali jeszcze w karcerze. Danzingera początkowo też, ale wkrótce go puścili. Pewnego ra-

817

zu Chyliński mnie wkurzył. Ja starałem się zawsze bronić siebie i innych przed błatnymi (oni sztyletowali w nocy, kradli itp.). raz stanąłem w obronie Chylińskiego, bo chcieli mu żyłką oczy "wypuścić" - jemu i Rochwałowi. Ja spałem, ale słyszę krzyki: "Marian, Marian". Budzę się, patrzę, biorę taką żelazną rurę, z którą zawsze spałem (dla obrony). Podnoszę się i walę tych dwóch worów, którzy napadli na naszych. Wory byli pijani, puścili naszych, mówią, żebym ich nie bił, oni tylko żartowali i idą spać. I wszyscy poszli spać. Następnego dnia mówię Chylińskiemu: "Janek, powiedz mi o tej ucieczce. kto mógł ich zdradzić?!" ON mówi: "Wiesz, ja nie wiem. Powiedziałem o tym tylko Danzigerowi, a on widocznie był szpiclem i zaraz doniósł".

J wiedziałem tylko o trzech tych uciekinierach, ale było ich więcej. Chyliński przychodził do mnie i namawiał mnie, żebym się do nich przyłączył. Ale ja odmówiłem, bo uważałem, że to jest niemożliwe. A poza tym wyrok już się niedługo skończy i może nas wypuszczą. Idzie jakaś "zawierucha" (polityczna - MG), to narazie zostanę i poczekam. Powiedziałem: "Ty sobie wyobrażasz - 16 tys kilometrów - co to jest? To się nie uda! Na Alaskę to jeszcze bliżej, ale po drodze góry niedostępne, zwierzęta - to niemożliwe!".

Sprawa Waksmana też była w orotukanie. On napisał pismo o ulaskawienie do Wyszyńskiego i tam napisał, że po przyjsciu "awangardnej" Armii radzieckiej pomagał wykrywać "ukrywających" się polskich partyzantów. I to pismo nasi złapali - ja sam widziałem jego podpis na tym. Przyniósł nam to pismo taki Dąbrowski i jeszcze jeden Polak. nam sie wydawało, że to jest jego pismo, ale do tego trzeba było specjalisty. oni sie za-

stanawiali nad wykonaniem wyroku nad nim. ja tłumaczyłem, żeby tego nie robili, bo od razu się wykrje, kto to zrobił i dostaną dodatkowy wyrok. Z Waksmanem na temat tego listu rozmawiał Cygan, Dąbrowski, Janka Pocełujko (ona chciała go po głowie zdzielić) i jeszcze ktoś. podobno nawet z Magadanu przyjechali jacyś polscy oficerowie (oni przywieźli nam piosenkę "Czerwone maki pod Monte Cassino..."). To był już 54 rok – było luźniej, można było jeździć, pisać. Cygan to nawet kilka razy jeździł do Magadanu, a Rochwał miał żonę w Magadanie – Rosjankę. Chyliński i Nikrewicz – też ożenili się z ruskimi.....

Jechałem do Polski z jednm takim. we Wrocławiu wita go ojciec, widać na stanowisku, a syn przedstawia mu żonę – Rosjankę. Ten ojciec podszedł potem do mojej żony ze łzami w oczach i mówi : "Wie pani, syn mi zrobił taką niespodziankę, że nie wiem jak to przeżyję". Ta Rosjanka nawet nie chciała wziąć paszportu polskiego, tylko zostawiła sobie swój – sowiecki! Różni byli Polacy....

Jaka była ta Polska to była, ale to była Ojczyzna – zawsze będzie myślała o tobie. A żyć bez ojczyzny nie można, to koniec. Można żyć bez pieniędzy, ale bez ojczyzny to nie ma życia. ...Chociaż polacz to się ciągle kłócili i kłóca....

W 1954 r. zostałem zwolniony na wieczną zsyłkę. – dostałem jakieś pieniądze i jedzenie. Brat mi już wtedy przysyłał paczki ze Szczecina. Przysłał też papiery przez ambasadę polską w moskwie. Kazali wysłać 12 zdjęć, wypełnić kwestionariusze, napisać życiorys i wysłać do Moskwy. Ja wtedy nie miałem żadnego obywatelstwa – ruskiego nie przyjąłem, a polskie utraciłem. Ale dlatego mogłem stamtąd wyjechać – jako Polak.

8/19

Po zwolnieniu też mieszkałem w Orotukanie – w baraku przy zakładzie. Tam mieszkaliśmy we 20 osób. potem Nikrewicz zbudował sobie domek i ja z Syrmontem wynajmowałem u niego pokój. Powiedzieliśmy sobie, że jak do któregoś przyjedzie żona, to drugi się wyprowadzi.

Nasi wybudowali kilka domków dla siebie – ci, którzy pracowali przy jakichś budowach i mogli zdobyć jakieś materiały. A ja w Zakładach dalej pracowałem 12 godz. i nie miałem takich możliwości.

Moją przyszłą żonę znalazłem przedtem – jak ukrywałem się w jednej z melin w okolicach ~~S~~jszyszek. Ona mieszkała w Koleśnikach w okol. Nowosadów. Jak się zwolniłem z obozu to napisałem do mamusi: "Przyślijcie mi jakąś dziewczynę". W Orotukanie były też Polki, do jednej z nich nawet chodziłem, ale ona była więcej ruska niż Polka; nasi się szybko wynaradawiali. Chyliński też najpierw chciał się ożenić z Polką, ale zaczął wydziwiać, że ona jest nauczycielką, jest wykształcona, a on już ma swój wiek, nie ma takiego wykształcenia i życie może się nie ułożyć. Rachwał też miał jakąś, ale mówił, że ona tylko przespać się chciała i chyba tak było. Sypiała z nim w naszym pokoju. I w końcu obaj ożenili się z Rosjankami. Rachwałowi to prawdopodobnie NKWD podesłało żonę.....Ja jeszcze do dziś się obawiam tych NKWD-zistów – oni mają długie ręce....jeszcze liczą, że odwróci się karta....

Mamusia odpisała mi na ten mój list, że jest tam u nich Zosia Isiewiczówna – czy będę ją chciał? niedługo otrzymałem telegram, że wyjeżdża do mnie. jednego dnia patrzę – a tu żona przyjeżdża – prawie jednocześnie z tym telegramem. Samolotem przyleciała. Odważna to ona była! Młodsza ode mnie o 7

920

lat. Miałem z nią kłopot na początku: do sklepu idzie, przychodzi – a tu policzki białe, broda biała – musiałem je rozcierać. Chleb przyniosła, to rzuciła go w kortarzu – ledwo doniosła, bo tak jej ręce zmarzły. Mówilem jej, żeby nie chodziła po ten chleb – ja sam przyniosę, bo ja już byłem przyzwyczajony i jak rak czerwony.

III B

Zamieszjaliśmy w domku nikrewicza. Wzięliśmy ślub cywilny w Orotukanie, bo ona inaczej nie mogłaby wyjechać z Kołymy do Polski.

W końcu 1955 r. dostałem paszport i papiery – że w przeciągu miesiąca muszę opuścić granice ZSRR. Po miesiącu jazdy przyjechałem do Polski 6.I.1956 r.

Przed wyjazdem poszedłem do NKWD do Magadanu, a tam miałam: ty pojedziesz, a ona zostanie. Spytałem od kiedy jest takie prawo, że żonie nie wolno jechać razem z mężem.. Nawet w gazecie pisali, że mąż i żona mają prawo jechać razem. Kazali pokazać dokument, że jest moją żoną i jak pokazałem, to pozwolili.

Zona spędziła ze mną rok na Kołymie i tam urodził się nam syn. Jak wracaliśmy do Polski to miał 3 miesiące. Drugi syn urodził się już w Polsce – w Elblągu. Pierwszy był zupełnie zdrowy – wszystko było w porządku.

Jeśli chodzi o to, czy baliśmy się tego małżeństwa – czy nam wujdzie, czy nie, to jest to sprawa wurozumiałości ludzi. Trzeba umieć z ludźmi żyć. Jeśli będę żonę szanował, nie będę jej zdradzał, okazywał jej to co trzeba i jeśli żona będzie tak samo myślała, to co więcej trzeba?

1021

Ja nic nie miałem i żona nic nie miała – zaczęliśmy oboje od zera. Nawet łyżki nie mieliśmy – i na Kołymie i po przyjeździe do Polski. Ani mieszkania, ani pracy.... przyjechaliśmy tylko w waciakach i z synkiem...

Przyjechaliśmy do ęlbląga, bo tu była siostra moja, a do Szczecina było za daleko – żeby w zimie jechać z dzieckiem. Tu dali mi 1000 zł, pomogli jeszcze raz. W marcu poszedłem do roboty. Jeszcze przed wojną skończyłem szkołę zawodową w Wilnie. Byłem ślusarzem-mechanikiem.

Po przyjeździe do Elbląga zgłosiłem się na milicji i tam, mnie zaczęli wypytywać: AK-owiec, skąd, za co itd. A wtedy już przecież było lepiej. Ale dzielnicowy milicjant powiedział mi: "Halo, halo, niech pan tu uważa". Pytam o co chodzi – przecież odsiedziałem wszystko. Odpowiedział: "Ale my pana możemy jeszcze raz zamknąć". powiedziałem, że jestem przyzwyczajony do siedzenia i że w ojczyźnie to mogę siedzieć, to dla mnie nie straszne. – "Niech pan nie będzie taki chojrak – usłyszałem. I zaczęli szpicle przychodzić pod mieszkanie, zaglądać przez okna. Cały czas mnie śledzili.

M. Mongiażko.

- 22 -

Ze trzy miesiące ~~mnie~~ tak śledzili. Kiedyś w moim zakładzie pracy było zebranie PZPR-u i tam dyrekcja i PGP - tam wszyscy byli partyjni - spytali, czy ktoś ma do nich jakąś wprawę. Ja podnoszę rękę: "Panie dyrektorze, dokąd można to wytrzymać? Ja pracuję, czy na pan mi coś do zarzucenia?" - "Nic, a o co chodzi?". Więc opowiadam: "Ciągłe chodzi za mną i mnie śledzą. Kobieta nie może już tego wytrzymać, niemal zagląda ją do garnka. Kiedy to wreszcie się skończy? Jeśli byłem winien, to odsiedziałem. Dlaczego jeszcze tu zaczynają mnie nachodzić?" - "A kto pana nachodzi?" - "Skąd ja mogę wiedzieć? Ale kobieta już chce mnie zostawić, bo nie może tego wytrzymać".

I potem - jak ręką uciął - skończyło się. Ale ciągle mnie namawiali do wstąpienia do partii, nawet straszili, ale nie wstąpiłem. A ja po rusku rozmawiałem - z przewodniczącym miejskiej Rady Narodowej, bo on w Rosji skończył studia.

W Zakładzie też mnie męczyli - byłem majstrem, to zrobili mnie brygadzystą, z brygadzisty - na ślusarza, więc miałem tego dość. ~~XXXXXX~~ -wolniłem się i przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Całe życie taki miałem! Myślałem, że po tylu latach już się skończyło, a tu nie!

Jeszcze na Kołymie, już po moim zwolnieniu, na zsyłce Nikrewicza męczyli w Orotukanie czy on zna Mongiażkę. A ten - tak jak na śledztwie - powiedział, że nie zna. To przecież była bzdura, bo przecież wiadomo było wszystkim, że w Orotukanie wszyscy Polacy się znają. I za to nie chcieli go zwolnić z obozu - dopóki się nie przyzna. Dopiero ja mu przemówiłem do rozumu i wytłumaczyłem się. On został na Kołymie.

Z tego co się orientuję, w Orotukanie po moim wyjeździe zostało chyba ponad 20 osób. Ze mną wyjechało 10 osób. Niektórzy później wrócili, np. Falkowski - w 56 czy w 57 r., piekarz z Poznania - Franek /przyjechał na Kołymę w 46 r./ - nazwiska nie pamiętam.

Co pozwalało przeżyć? - Cały czas pobytu na Kołynie - modliłem się. I Chciałem wrócić do ojczyzny, bo tyle co dla niej zrobiłem - to chciałem zobaczyć co z tego wyszło.

Ja jestem synem rolnika - ojciec miał gospodarstwo - 16 ha i był sołtysiem. Matka trudniła się wychowaniem dzieci - siedmioro nas było. Ojciec prawdopodobnie pochodził z książąt politewskich /nazwisko/. A dziadek brał udział w powstaniu styczniowym. Za to car rozparcelował cały nasz majątek. Ale Polakami czujemy się od pokoleń. Byłem wychowany jako patriota. Wszyscy moi bracia i siostra byli w AK, a ojciec należał do konspiracji kościelnej. Cała rodzina była aresztowana i siedziała - dłużej lub krócej. Jeden z braci - Witold Mongiażło był w Buchcie Machodce - pracował w porcie, inny koło Moskwy siedział, trzeci do Polski się przedarł /mieszka teraz w Szczecinie/.

Przed wojną należałem do "Strzelców" w Lidzie, potem byłem w PW, potem w wojsku. W 39 r. byłem na froncie poznańskim, potem w obronie Warszawy. Niemcy mnie złapali, ale im uciekłem z kolumny.

A później - w domu - konspiracja.

Poza tym - ciężko pracowałem, to też było ważne, zdrowie miałem dobre, mocno byłem zbudowany.

Według mnie obóz najgorzej przeżywali flegmatycy, ludzie bez inicjatywy, bez refleksu - zawsze się wszędzie spóźniali - i do jedzenia i do lepszej pracy.

IV - 1

Kary w obozie były różne - czasem za nic - ze zwykłej złośliwości czy z zemsty konwojentów. Np. wybieraliśmy kamyczki ze żwirów na szosie, wyciągnęliśmy karcze na wypalanej tajdze itp. - to wszystko było o pracy - w drodze do obozu.

To było w posiołku..... Przedtem naczelnikiem była kobieta, którą zamordowali. Potem był klub jej imienia. Następnym naczelnikiem był Bezpłachodnyj - sadysta. Raz przychodzimy do bramy obozowej, a tam nam każą z drogi wybierać większe kamyki ze żwiru.

M. Mongiałko.

A tam wśród więźniów byli rosyjscy żołnierze - z wojny. Oni nie chcieli tego robić. Podeszedł do nich sam pułkownik /Bezpiechodnyj/ i jednemu z tych żołnierzy dał w twarz tak, że ten upadł. Jak się podniósł to mówi: "Sto ty, ruskowo oficiera bijosz?" - Pułkownik się przestraszył, bo tam byli różni kapusie i nie wiadomo było z kim się ma do czynienia. Ale w końcu któryś z żołnierzy-więźniów mówi: "Rebjata, nie ma szto, trzeba te kamyki wybierać". I pokazuje: patrzmy, a tu we wszystkich oknach wachty karabiny. Budynek miał kształt litery 'T' /ruskie "p"/, a myśmy byli w środku. To już nie była kara - chyba chcieli nas wystrzelać. To zbieranie kamyków trwało z godzinę. Tam było chyba gorzej niż w Oświęcimiu. Wszyscy spali na takich okrągłakach, bez sienników, przykryci tylko cienkim kocem. Ludzie przymarzali do ściany. Ja brałem cegłę, grzałem ją w piecu, owijałem w coś i kładłem sobie w nogi - dopóki była ciepła, to trochę się przespałem. Nad ranem wszyscy się budzili z zimna. /było -56° C/. Dozorca, który nas budził i brał na "rozwod" to latał z 1,5-metrową deską, grubą na cal i krzychał: "Mużiczki, kazan się pali" - i wszystkich walił tą deską. To myśmy się tak szybko zrywali, że walonki wkładało się już na dworze. To był taki zbój, że coś straszego - Ukrainiec-Kola.

Brygadierzy w pracy byli różni. Więźniowie byli ludzcy, ale NKW-ziści - okropni. Kiedyś prowadziliśmy linię /drogę?/ do posesiołku Gornyj - bo tam był zakład podległy Orotukanowi. Kazali nam w wiecznej zmarzlinie kopać rowy 2,5 x 2 m i na 3 m głębokości. Była wyznaczona norma - nie do wykonania....

Na rozwodzie trzymali nas codziennie 2 godz. na mrozie poniżej 50°. Tam czasem było ze 1000 osób na jeden rozwod. Myśmy tam zamarzali, chodziliśmy w kółko, dopóki się nas nie doliczyli. To jest nie do opisanania... Kiedyś ukradłem kierownikowi z biura zielony twardy papier na biurko. Uszyłem sobie z tego papierwoą kamizelkę, nakładałem ją na koszulę, na to kurteczkę i było trochę cieplej. Ktoś to podpatrzył i podziwiał, że ja taki "umuuu!".

Nie było różnicy w stosunku służby obozowej do nas - Polaków i do ruskich. Wszystkich traktowali okropnie. Raz dwóch konwojentów, którzy widzieli, co władze z nami wyprawiają - zastrzeliło się - na "wyszcze".

Ja dzięki kopaniu tych rowów na drodze - wyżyłem. Zakładałem tam trotyl. Raz założyłem do 2-metrowego szurfu - pomyślałem, że wystarczy. Rosła tam obok brzoźka, zapaliłem lont i wykażę, myślałem, że zdążę. Patrząc, a tu niektóre lonty nie zapaliły się. Co robić? Trzeba wykażać, bo jak zapalą się z opóźnieniem, to wybuchnie. Łapię za tę brzoźkę i razem z nią wpadłem do tego szurfu. Zacząłem wrywać palące się lonty. Stoję przy ścianie w tym dole i czekam... Wydawało mi się, że to trwa wieczność... czekam, czy wybuchnie, czy nie. I nic... Odetchnąłem. Wylazłem z dołu, położyłem się, bo nerwowo byłem wykończony, odpocząłem, potem znowu wlażem, żeby te wszystkie druty wykopać i rozbroić.

Przy mnie trzy osoby wyleciały w powietrze przy tych szurfach, a ja byłbym czwarty. Ale widocznie ktoś nad człowiekiem czuwa....

Co prawda oficjalnie był taki /wolny/, co chodziła i miał zapalać te lonty, ale trzeba było na niego długo czekać, bo szurfów było dużo, a tu chodziło o normę i zimno.

Ale ja się i tak pod ciemną, nieszczęśliwą gwiazdą urodziłem..... Już w wojsku, w 1959 r. mi się nie wiodło.....

Koniec nagrania.

Dalej!

Eventualne uzupełnienia autora.